

KRONIKA PARYZKA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Les Odeurs de Paris” przez Ludwika Veuillot. — „Satyra we Francyi w wiekach średnich i w XVI stuleciu” przez profesora Lenient, dzieło przekazane ministrowi oświecenia. — „Bibliografia Czoło-piśmiennictwa francuzkiego” przez p. Hatin. — „Le dernier Amour” romans pani George-Sand. — Nowy Dom” pięcio-aktowa komedia pana Sardon: List jego odpowiadający na czynione mu zarzuty. — „Szuler” komedia Regnarda. — Posiedzenie doroczne Akademii francuzkiej. — Wiadomości literackie.

„*Les Odeurs de Paris*” ostatni utwór Ludwika Veuillot, sprawił w Paryżu wrażenie skandalu: rozkupywano książkę jak bilety na sławną farsę do Palais-Royal. Dla przyspieszenia sprzedaży, interesowani puścili pogłoskę, że książkę konfiskują... więc rozchwytno pierwsze, drugie i trzecie wydanie, 30,000 egzemplarzy w ciągu nie spełna dwóch tygodni. Powodzenie co się zowie!

Pan Veuillot tą razą poszedł, jakto mówią, po rozum do głowy: od czasu jak spowaźniał, nikt w Paryżu dzieł jego nie czytał. *Życie Chrystusa* wydało się blade obok książki Renan’a. Dziennikarze nawet, ci umysłowi gałganiarze podejmujący co na drodze leży, nie podjęli jego „*Złudzeń liberalnych*” ani „*Guépier italien*.” Widząc to pan Veuillot, powrócił do swojej pierwszej maniery: do satyry, i udało mu się przewybornie: czytelników znalazł mnóstwo. Doza wiary autora jest wprawdzie nieco za mocna dla tutejszej powszechności, ale któż tu pyta w co autor wierzy? mianowicie, jeżeli prócz wyznania wiary jest przysmak dla każdego. Dzienniki dużego rozmiaru zmieszane z błotem, pocieszają się widząc małe, jeszcze bardziej zbryzgane. To znowu, prze-

tarłszy oczy zalane pomyjami, poznały w autorze sprzymierzeńca, współnika... Jakże się gniewać? Każdy niecierpi kogoś, a książka pana Veuillot każdej zemście służy.

Gawiedź nie interesowana w tej kłótni, z *paradyżu* słuchała szczekania i oceniała tuzy... Tym sposobem Paryż bawił się przez całe dni ośm, nie zupełnie po chrześcijańsku, ale wybornie!

Galerya portretów przedstawionych w tej zjadliwej krytyce tutejszych ludzi i obyczajów, jest bogata, ale nie kompletna, bo nie ma wizerunku Veuillota, a on tu na pierwsze zasługuje miejsce, jako nieodrodny syn Paryża, w którym znajduje się wszystko. Tylko Paryż mógł wydać taką osobliwszą mieszaninę dewocyi z gamineryą, ewangelicznych teoryi z karczemną praktyką. Pan Veuillot jest jednym z najmocniejszych *paryżskich* Odorów.

Od czasów *l'Universa* nie zmienił się wcale: ani przyjacielom ani nieprzyjacielom w niczem na włos nie ustąpił. Kontrowersista zawsze równie zajadły, tylko talent jego nieco zgrubiał, czy to że wiek uwydatnia wady, czy też, że satyra cięższe, przechodząc z dziennika do książki.

Ostatecznie, zawsze to tenże sam pisarz, który niegdyś przez lat piętnaście rozśmieszał bulwary i fanatyzował zakrystye. Tą razą jednak, przyjaciele akademicy pisujący w koronkowych mankietkach, zapłonili się i osądzili, że obrońca dobrych czasów „*est un peu trop fort en gueule.*”

W sposobie zapatrywania się Veuillota ta ważna zaszła zmiana, że teraz należy do opozycji, nie inaczej: cofnął dany niegdyś istniejącemu rządowi *Satisfecit*. Dawny zadowolony dziś stoi w szeregach malkontentów, ba, nawet męczenników.

Cóż zaszło? spytacie. Czy Veuillot zmęczony oczekiwaniem niewschodzącej jutrzeńki swobody? Czy mu się nie podobają dalekie wyprawy? Czy mu się zdaje że Francya nie urosła w tym roku? Nie! to nazbyt drobne dlań względy. Veuillot jest w opozycji, bo mu dziennik skasowano: oddajcie mu *l'Universa*, a całe Uniwersum ujrzy natychmiast w różowych kolorach.

Nie trzeba zapominać, że w tym razie sam jeden pan Veuillot nie ma prawa ani sarkać przeciw bijącej władzy, ani spodziewać się sympatyi od powszechności patrzącej jak go

bija. Dlaczego? Bo nie systemat jemu się nie podoba, powiedział to sto razy, ale zastosowanie takowego do *l'Universa*; Veuillot pochwała repressyą drukową, ostrzeżenia, zawieszenia; kasowanie bardzo lubi, chce tylko żeby sam był z pod tego ogólnego prawa wyjęty. Niech drugich gnioł, niech nawet smażą jeżeli można, i owszem, to prawo, to nawet obowiązek zbawienny; tylko niechaj ołtarz będzie szanowany w jego osobie.

Veuillot jest pisarzem niepospolitym, ale tylko pisarzem. Należy do rodzaju znanego jedynie w literaturze francuskiej: rodzaju *stylistów*. Nigdy on nie dyskutował żadnej myśli, nie skreślił żadnego poglądu ogólnego; nie odmalował fizyognomii wieku; napisał dwadzieścia tomów, a nie wyjaśnił żadnej kwestyi, nie otworzył żadnego widnokągu, ani nie objawił nowej prawdy, jako należący do ludzi utrzymujących że wszystko już obmyślano, przepisano i ogrodzono parkanem, dla bezpieczeństwa szaleńców, którzyby jeszcze dalej iść chcieli. Co za tym pokarmem jest, Veuillot wiedzieć nie chce i dociekać nie pozwala. Wierzyć w co przykazano i wystawiać się dobrze, ot cała rzecz.

Język pana Veuillot nie jest ani piękny, subtelny, ani bogaty, ale wyraźny, racjonalny, dosadny, wolny od wyrażenń oderwanych i skrzydlatych okresów, wyglądających po za wyż wspomniany parkan, którym myśl jego ogrodzona. To też dla tego, że taki pewny siebie, Veuillot z języka swego bardzo jest dumny i najmocniej ćwiczy współczesnych pisarzy za *barbaryzmy*, *solecyzmy*, i niejasność, którą zowie *kokofoniją*. Każdy z pisarzy paryzkich dostał linią po palcach. Tylko język Veuillota jest dobry. Nikt nie przeczy że ma język na swoim miejscu, tém jednak niższy do innych, że mu brak rozciągłości, giętkości, podniosłości i dobrego smaku. Veuillot zbyt ceni zalety które ma, a zbyt mało te, których mu brakuje: należałoby czynić odwrotnie. Rabelezowska jego werwa sprawia, że nawet w tych *Odorach* odrażających, są karty warte czytania: niektóre przestrogi dawane pisarzom, wyśmienite.

Wytknąwszy przywary i brudy francuskiej społeczności, jakież nakoniec podaje lekarstwo na te moralne wrzody? Wyznaje niemoc swoją, jak zwykle. Veuillot celuje w odślanianiu ran, sondowaniu ich aż do dna, bez względu na ból

pacyenta.... Ale kiedy przychodzi leczyć, przepisuje jakieś babskie lekarstwo i na tém kończy.

Nieszczęściem dla siebie czy dla ziomków swoich, Veuillot nie zna wcale uprawy dzisiejszej społeczności francuzkiej. Wśród Francuzów żyje w zupełnem odosobnieniu umysłowém. Ani się domyśla, że większa część tych ludzi nabyła wiadomości i władzę myślenia przeszkadzającą wierzyć w to w co on wierzy. Nie wie, że daremnie zaprzecza dzisiejszej astronomii i historii, a popiera legendy i cuda, że daremnie grozi i bije; że wiekowi XIXtemu trudnięby było rozumować i czuć jak wiek XIIIsty, już dorosłemu człowiekowi wdziać swoje dziecinne sukienki; że nakońiec, nie w to się wierzy w co się chce, ale w co się może. Veuillotowi się zdaje że jego spółcześni rodacy są dziwolągami. Źle ich sądzi, nie rozumie stanu ich duszy: on to, ze swoją wiarą naiwną, jest zjawiskiem pośród naszej epoki. Czytając jego pisma, zdaje się że przed oczyma stoi jakiś kopalny okaz przedpotopowca, jakiś *elephas primigenius* który niegdyś wchodził w skład harmonii świata, a dziś dysproporcją razi.

Jednak, własna polemika powinna by oświecić Veuillota co do wartości jego wiary: przecząc, nie argumentuje, nie zbija, nic nie dowodzi, tylko lży nieustannie....

Mamy oto przed sobą jego tom o pięciuset stronicach: czy od pierwszej aż do ostatniej karty znajdzie w nim aby jedną uwagę zdolną oświecić albo wzruszyć, zdolną pomniejszyć trudności przeszkadzające wierzyć, albo zbić zarzuty stawiane pismu przez nauki przyrodzone; jestże aby jedna myśl, z którejby mógł skorzystać człowiek światły? Nie. Książki Veuillota nie tylko nie podnoszą wiary, ale zdają się napisane umyślnie ku obudzeniu wstrętu do wyobrażeń, które adwokatuje. Chce on obudzić miłość Chrystusową, a miota na bliźnich pociski z szatańską wzdargą, w którejby mu najjadowitszy poganin nie sprostął. Z każdej obelgi wybiera co jest najosobistszego; pozwala sobie rzeczy którychby tu sobie nikt nie pozwolił: gada o żołądku jednego, o nosie drugiego, o gębie trzeciego... czy to mężczyzna, czy kobieta, wszystko mu jedno: tego zowie „*panore gros*” owego „*compère*” i tak dalej, za pan brat ze wszystkimi. W stolicy gdzie wykwintne formy najwięcej przestrzegane, on klepie po ra-

mieniu, każdego tyka, głaszcze pod brodę, albo w nos prztyczki daje... W obec takiego zuchwalstwa źle wychowanego człowieka, Paryżanie niemieją... Z jego strony, nie jest to tylko dowód złego wychowania, ale podłość: zaraz się wytłumaczę.

Veillot w *Odorach Paryżkich* oświadcza się za pojedynek. „Jest to, powiada, ostatni okop jednostki w społeczności demokratycznej, to jest niegrzecznej, pełnej złych ludzi którzyby dopuścili się wszystkiego względem każdego, gdyby im nie miano do pokazania lufy pistoletowej.”

Wiadomo jednak, że pan Veillot do pojedynku nie staje: wiara mu tego zabrania. Bardzo dobrze: nie mamy nic przeciwko temu. Ale za tém idzie że położenie pana Veillot tworząc mu przywilej, tworzy mu także obowiązek. Toż samo uczucie które mnie broni jego znieważyc, wiedząc że się nie pojedykuje, jemu powinno zabronić lżyć człowieka któremu nie da zadośćuczynienia. Skoro inaczej postępuje, wygląda to jakby Veillot za Chrześcianizmem się krył, żeby bezkarnie znieważać tych, którzy są bez obrony względem niego, jakby, mówiąc własnemi jego słowy, odważał się na wszystko względem drugich, *bo mu nikt lufy pistoletowej nie pokaże.*

Właśnie téż tak czyni teraz: nadużył bezkarności której używa jako katolik praktykujący. Zrzekł się pojedynku, co można z honorem pogodzić, ale zarazem skorzystał ze swojej nietykalności żeby swych przeciwników zbezczeszczać, co już w kodexie szlachetności nie stoi. Dobry, prawdziwie ewangeliczny przykład dla bezbożnych.

Rzadko, bardzo rzadko na tém miejscu mówimy o panu Veillot, bo wstręt mamy do jadu i błota, w którym on się lubuje, bo potraćciwszy o jego elukubracje, trzeba koniecznie téż maczać pióro w kałuży—i złościć się i pnieć, jak on, co nieustannie wspomina nadaremnie imię Pana Boga swojego. Nie nasza to rzecz. Więc tylko jeszcze słowo—i milczenie o tym człowieku.

Skoro chcemy zdać sobie sprawę z obyczaju literackiego pana Veillot, zatrzymuje nas nierozwiązana zagadka: jest w jego zmyśle moralnym jakaś szczerba, której u innych nie ma. Rzekłbyś że jest pozbawiony zdolności uchwycenia stosunku zachodzącego pomiędzy swoim postępowaniem

a zasadami, stosunku pomiędzy swoją osobą, a innemi osobami. Niby ubolewa nad brakiem grzeczności, a posuwa grubiaństwo aż do bezwstydu; Woltera zowie najwięcej plu-gawiącym z polemistów, a sam nie zna innéj broni tylko plu-gawienie; staje niby jako obrońca wolności druku, a błaga ministra spraw wewnętrznych żeby srogo karmił dzienniki; występuje jako męczennik, a zapomina że był dworakiem i że nikt go nie prześladował; podaje siebie za ofiarę, a tę rękę która jego uderza całował kiedy biła innych; zastawia się przed pojedynkiem przywilejami dewocyi, a korzysta z tego żeby na drugich sypać najgrubsze obelgi; potępia pogardę jako uczucie niechrześcijańskie, a najmocniejszém, jedyném w nim uczuciem, pogarda dla bliźnich.

Szczęście, że nikt nie dba o pogardę człowieka, który, jak słusznie mówią Paryżanie: „*crache à la figure des gens par les fenêtres de la sacristie.*”

Professor retoryki Lenient wydał zajmujące 2 tomy: „*La Satire en France au moyen Age*” i „*La Satire en France, ou la littérature militante au seizième siècle.*” Ulubieniec młodzieży, jeden z najsympatyczniejszych mowców Sorbony, pan Lenient w tém dziele zwraca się do swoich wyborowych uczniów. Ogółowi chciał on udostępnić wiadomości rozsiane w grubych tomach członków Instytutu, a mianowicie w *Historyi literatury Francyi*, wydawanéj przez akademików. Wierny zadaniu, zamiast pisać treść archeologii literackiéj, napisał księgę żywą, zajmującą każdego. Właściwy tytuł téj pracy pana Lenient byłby: historia opozycyi politycznéj i religijnéj w wiekach średnich.

Jakto? zagadnie czytelnik, w owych czasach uważanych przez wielu za wiek złoty władzy świeckiéj i władzy duchownéj, istnieli już śmiałki utrzymujący że nie wszystko idzie na świecie jak najlepij? Tak było, niestety! Patrzenie jak stara złość ludzka, kiedy już wtedy przekomarzała się *dobrze myślącym.*

A jednak wtedy lud nie umiał czytać, nie wypowiedział wojny ciemnocie jak dzisiaj; nie było ani dzienników, ani dziennikarzy: *kroniką* zastępowała oboje. Redakcja była

daleko trudniejsza niż teraz, bo jeżeli redaktor jakie niebażne słowo wypuścił, już po nim! Teraz, najpierw ostrzegają, a następnie kasują nieprawny dziennik; wówczas kasowano dziennikarza: bez ostrzeżenia, wsadzony do *inpace*, za życia zostawał pogrzebiony.

Pan Lenient pisze tak żywo, że najstarsze rzeczy pod jego piórem młodnieją. W *Historyi literackiej Francyi*, czytaliśmy gruntowne rozprawy o romansach Rognart'a, o Trouverach i Bajarzach średniowiecznych. Wszystko to jest nauczające, głębokie, ale zbyt książkowe, zbyt sztywne, martwe.... Lenient całą erudycją odrzuca, a pokazuje jedynie to co było życiem, co było walką w owych słowach dziś zgasłych, a przed sześciuset laty płomiennych. Tym którzy tylko prawowierne średnie wieki znają, odkrywa średnie wieki, nie powiem wolnomyślne, ale do samoistności dążące; tym, co tam widzą jedynie feudalizm i despotyzm, pokazuje mieszczaństwo, demokracją w zarodku, której pragnienia objawiały się satyrą.

Tym sposobem cała ta literatura się ożywia i zmusza dzisiejszych Francuzów do skromności, dowodząc im, że nie wymyślili ani opozycji, ani przyczynków, ani odwagi cywilnej.

Zarzucają panu Lenient że we wszystkich pismach średniowiecznych dopatruje ziarnko pieprzu, czyli okrucich satyry. Nie sądzimy. Ale gdyby nawet tak było, cóż złego? Benedyktyni szukali książek w stuleciu; ludzie tacy jak Lenient, szukają ludzi w książkach: każdy może gust swój zaspokoić.

Niektóre rozdziały *Satyry średniowiecznej* może bezpiecznie podpisać Michelet. „*Le Diable et dom Argent*“ nawet stylem autora *Czarownicy* napisany. Bohatérką XIV wieku śmierć: ona jest muzą najczarniejszych dni dziejów Francji; ona dyktuje Villon'owi jego *testamenty*, Karolowi Órleańskiemu *melancholiczne ballady*. Błyski ironii pierwsze rozwidniły nieco te ciemnie, zwracając do życia uwagę ogółu wyłącznie zajętą niechybną śmiercią. Dobroczynne szyderstwo (bo może być i takie) pojawia się w XV stuleciu po raz pierwszy, w dwóch znakomitych utworach: „*Cent Nouvelles*“ i „*Quinze Joies du Mariage*.“

Wprowadzenie szyderstwa do architektury pan Lenient może niesłusznie uważa także za objaw satyrycznego du-

cha. Nie dowodziłoby to raczej skażenia smaku, które szerzyło się w miarę jak znikał urok rycerstwa i cudowności?

Wojująca literatura XVI wieku mówi daleko głośniej o ludziach i namiętnościach politycznych i religijnych niż wieki średnie, kiedy nawet w najgwałtowniejszych chwilach znaczące słowo było, że tak powiem obwijane w bawełnę i tylko jego dążność utajona została.

Jednak taka jest siła wrodzonej skłonności, że na wyjściu z wieków średnich, w przeddzień reformy, już się ukazują dążenia demokratyczne, będąc żywiołem najpotężniejszym dziejów Francji. W Anglii katolicyzm doprowadził do arystokracji ukoronowanej królewskością; Francją przeciwnie duch równości wiedzie do spełnienia przeznaczeń.

Ten sens moralny wyciąga Lenient z *wykazu oznak charakterystycznych*.

Drugi tom zajmuje wyłącznie wiek XVI: duch satyry grał wtedy ogromną rolę we Francji. W wiekach średnich satyra była dyskretną protestacją, bronią odporną: jeżeli działała dla powszechnego dobra, to *niechęcący*. W XVI wieku satyra jawi się pod wszelkimi postaciami, staje się biczem smagającym wszelką władzę i powagę, równie przeszłą jak istniejącą. Wiek XVIII w najrewolucyjniejszych chwilach nie był zuchwalszym niż wiek XVI. A jakże potężnych miał destruktorów! Erasme, Ulrych, Hutten, Kalwin, Rabelais, Estenne, Agrippa, d'Aubigné, Montaigne, na wyścigi przysposabiali grunt dla nowego ducha. Nigdy walka moralna nie była ogromniejszą i zażartszą; nigdy też nie chodziło o równie wielkie rezultaty, jak kiedy duch tegoczesny miał być nagrodą zwycięzcy. Wysiłki wielkie! ale nie mógł być mniejszy okup przyszłości. Wiek XVI był wiekiem odkupienia, pełen chwały dla Francji, a dla przeznaczeń ludzkości stanowczy.

„*Literaturę wojującą XVI wieku*“ autor dedykował ministrowi oświecenia. Pan Duruy lepiej niż ktobądź może ocenić tę pracę pana Lenient i jego dążności wyraźne, choć nie deklamowane. Książka napisana jest dla ludzi wykształconych, którzy mają już wyrobione pojęcia o kwestiach dyskutowanych w XVI wieku, podjętych w XVIII, a do dziś dnia nie wyczerpanych. Pan Lenient wie że książka tych

jedynie nawraca, których nawrócenie nie ma wagi; zresztą jedyną tendencją jaką w dziele jego upatrzeć można, jest chęć skłonienia ludzi do pobłażania i spostrzeżenia słonecznej prawdy wytryskającej z dziejów, bo, rzecz smutna: co do zasad, zdania dziś są więcej podzielone niż były przed dwustu laty

Literaci wiele się nauczają z książki pana Lenient: rozdziały o satyrze religijnej są bardzo ciekawe i nowe, nawet po pracach panów Philaret Chasles, Saint-Marc Girardin i innych badaczy XVI stulecia. Ocena bardzo trafna! Starzy wolnomyślnicy przyklasnęliby pewno sędziemu, który o nich wyrokuje tak sprawiedliwie i tak humorystycznie, podnosząc tylko rzeczy godne wzmianki. Pomiędzy nami mówiąc, nie mała to praca przesiać przez rzadki przetak utwory wszystkich praojców francuzkiego liberalizmu. Weźcie tylko Rabelaigo lub Montaigna, dwóch najwyższych, odczytajcie ich dzieła nie dla zabawy, ale w jakimś celu systematycznym, a przyznacie pewno, że Francuz który takie ukończył czytanie, dobrze się zasłużył ojczyźnie.

„*Historya satyry we Francyi*” ze wszechmiar warta uwagi ludzi wyższych. Nie mieszajcie jej proszę, z dziełami literatury francuzkiej *bieżącej*, która we 24 godzin po wypłynięciu ze źródła, dopływa do swego ujścia i ginie w toni zapomnienia. Czytający dzieło pana Lenient nie przejdzie koniecznie do opozycji, ale przyzna, że dobrze czasem posłuchać jej głosu, chociażby dlatego, żeby jej zadać fałsz poprawieniem siebie; umiłuje więcęć rozsądek i umiarkowanie, przokonawszy się jeden raz więcęć, że tak w książkach jak w życiu, tak w XVI jak w XIX wieku, przy umiarkowanych a rozsądnych, staje zawsze zwycięstwo i ostatnie słowo sporów ludzkich.

Eugeniusz Hatin, autor „*Historji dziennikarstwa francuzkiego*” wydał u Didot'a katalog francuzkich dzienników pod tytułem „*Bibliographie historique et critique de la Presse périodique française.*” Tom złożony z 750 stronnic. Pokazuje się że dziennikarstwo szerokie miejsce zajmuje w świecie, kiedy trzeba było zapisać tyle arkuszy jedynie na uło-

żenie spisu dzienników od czasu jak wychodzą we Francyi. A jeszcze pan Hatin wyznaje skromnie, że nie mógł od-
szukać wszystkich śladów tych świeatek, najczęściej błę-
dnych, z których piśmiennictwo peryodyczne się składa.

Dzienniki zmarłe, których imiona mozolnie wyszukał Hatin, to przodkowie dzisiaj żyjących gazet francuzkich: ha-
łasowały nie mniej, a może więcej od tych które teraz czy-
tamy i przepadły, często bez śladu. Bossuet powiedziałby
zapewne z tego powodu wiele budujących morałów o znikomo-
ści rzeczy ludzkich, Hatin ogranicza się na zapisaniu daty
urodzin i śmierci.

Zapomnienie leży w przeznaczeniu dzienników: pracują
dla chwili która je tworzy, a nie dla potomności. Najsilniej-
szym, najwymowniejszym, można życzyć jedynie żeby dzieło
codzienne dokonywały, dopóki nie osiągną zamierzonego
celu. Jestto już bardzo wiele, bo istnienie dzienników nie
pewne, mają mnóstwo nieprzyjaciół: jeden dziennik zabija
tusza, drugi mrze na suchoty; tego uśmierca prawo, owego
fiskus; ten ginie zbytciem prenumeratorów którzy go w dumę
wbijając ogłupili; inny brakiem czytelników gaśnie... mnóstwo
pism peryodycznych roztapia się w próżni, niektóre w błocie.

Ale wszystkie te katastrofy są powszechnym udziałem
istnień ziemskich. Dzienniki nie powinny zbytecznie na-
rzekać na zmienność swęj doli, zważywszy że często dłużej
żyją niż monarchie.

W każdym razie, już wielka wygrana zasługuje na
wzmiankę w katalogu świadczącym, że taki a taki dziennik
usiłował być, że chciał wyrażać opinią publiczną albo nią
kierować. Tego rodzaju wysilenia nie są stracone i zasłu-
gują na obszerniejszą relacją, którą znajdujemy w poprze-
dniej publikacji tegoż autora pod tytułem „*Histoire politique
et littéraire de la Presse en France*”. Jestto pomnik wzniesiony
na cześć dziennikarstwa politycznego, które niegdyś oddało
Francyi olbrzymie usługi, jestto kolumna Vendôme polemicz-
nych bojów. Z dumą nań patrzą dziennikarze dzisiejsi, i słu-
sznie: dziennikarstwo francuzkie skarłałe może dla tego że
rolę swoją skończyło, ma świetną przeszłość.

Powszechnie czytany jest w Paryżu romans pani Sand pod napisem „*Le Dernier Amour*” (1). Jedyną nauką jaką można z tej książki wyciągnąć, ta, że małżonkowie nie dobrani nie mogą być szczęśliwi, że człowiek zajęty wyższymi sprawami ducha, nie powinien się żenić z kobietą zmysłową, przystępną mnogim pokusom miłości nie duchowej.

Powyższa prawda stara, sama jedna w końcu powieści występuje, chociaż pani Sand nie tego dowieść chciała. Zawsze dociekająca psychologicznych zagadek, w ostatnim utworze porusza najważniejszy problemat małżeństwa: karę niewiernej żony. Przyjawszy prawo karania, pani Sand szuka prawa moralnego wyższego, ideału repressyi, jeżeli tak wyrazić się można. Ale nie łatwo rozwinąć tęzę ogólną za pomocą jednostek, rozwiązanie położenia wyjątkowego nie może być regułą powszechną.

Jednak przyznać trzeba, że chociaż problematu nie rozwiązuje, pani Sand i tą razą do myślenia skłania. Chociaż nie zawsze logiczna, podrywem wielkich skrzydeł wylatuje z ciasnego koła, w któremby ją rozumowanie ściśle zamknąć chciało.

Założeniem „*Ostatniej Miłości*” jest więc *niewierność żony*. Pan Sylwester który sam opowiada swoje dzieje, ożeniony dwa razy, nigdy się nie przemieszał, ale był najniegodniej oszukiwany. Chodzi mu więc, jaka jest najwięcej ludzka kara którą mąż filozof, wróg kary śmierci, może nałożyć niewierniej żonie?

Zdawałoby się że powieść o której mowa, jest pośrednią odpowiedzią na *zabójstwo* występnej żony, które Dumas usprawiedliwia w „*Affaire Clemenceau*”. Sylwester nieco podobny do „*Jakuba*”, tej może najszczytniejszej z męskich postaci autorki *Indiany*. Równie litościwy i przebaczący jak tamten mąż, Sylwester wydaje wyrok pozornie paradowalny: twierdzi on, że karą wiarołomnej żony powinna być *przyjaźń*. „*Przyjaźnią użytą jako karę, można poprawić natury przystępne skrusze*”.

Takie ma przekonanie Sylwester i powyższą zasadę rozwija w opowiadaniu przygód swojego życia.

(1) Powieść tę w przekładzie podają właśnie *Kłosa* od Nowego Roku.

Owdowiawszy i straciwszy majątek w pięćdziesiątym roku życia, Sylwester zmuszony pracować, udał się do Szwajcaryi i wszedł jako prosty wyrobnik do tartaków Jana Morgeron przemysłowca zamieszkałego na granicy włoskiej. Zaczę ten człowiek wnet spostrzegł, że Sylwester nie jest drwalem; przokonawszy się że ma gorące serce i głęboki rozum, przyjął go do wspólki jak przyjaciela. Jan Morgeron ma siostrę Felicyą. „Kształtna brunetka, modrooka o greckim profilu, Felicya miała w postawie coś nadzwyczajnego: w charakterze tajemniczość, czasami była jak anioł dobra, a czasami opryskliwa i ostra jak brzytwa. Miała lat trzydzieści, a wyglądała na dziewczynkę“. Krewny jój Tonino, piękny wyrostek z ognistemi oczyma, czcił ją jak poganin.

Felicya już nie powinna myśleć o małżeństwie: nie znany uwodziciel zniszczył bardzo wczesnie całą jój przyszłość. Sprężysta i rozumna, dzielnie dopomagała bratu we wszystkich przedsiębiorstwach; zapałna i wrażliwa, Felicya była jednak przedewszystkiem artystką. Sylwester nie mógł jój się napatrzeć, kiedy oświecona wewnętrznym ogniem grała na skrzypcach wyśpiewując smyczkiem nie wysłowione uczucia. Były to jednak rzadkie chwile zapomnienia. Zwykle zajęta gospodarstwem, nikt by nie był posądził o uczuciowość.

Ilekroć Felicya grała, oczy Tonina pałyły, rumienił się, to błędnął: widocznie był w nięj zakochany. Felicya uważała go za dziecko, a Sylwestrowi okazywała przychyłność. Ten przeczuwając co go czeka, oddalił się pod pozorem roboty w górach. Felicya zaczęła usychać z miłości, co zobaczywszy brat, ofiarował bez ogródki zbiegowi rękę siostry.

Filozof ofiary nie przyjął. W kilka dni później Jan Morgeron umarł przypadkową śmiercią.

Rozpacz Felicyi była bez granic! Litość jest namiętnością w duszach czułych, mówi Sylwester. Nieszczęśliwa, obudziła we mnie gwałtowną miłość, którą miałem za pokonaną. Boleść jój rozdarła moje wnętrze... widząc ją tarzającą się po ziemi, rwącą swe czarne włosy, uczułem po własnej rozpacz, że jój cierpienie jest mojem, że ją kocham namiętnie."

Tak pan Sylwester przegraną swoją opowiada. Ślub naznaczono na koniec roku. Przyszły mąż korzystając z żałoby, wtajemniczał przyszłą żonę w zachwyty miłości duchow-

wój. Tonino zazdrościł, więc go ożeniono z Vaniną, piękną góralką, której portret jest może najsympatyczniejszą twarzą w *Ostatniej miłości*.

Następstwo ożenienia Tonina zupełnie nie spodziewane: zazdrość obudzona w sercu Felicji jego szczęściem, wydała jemu oddawna pożądaną kochankę. Huragan namiętności zmiotł w oka mgnieniu szczytne nauki Sylwestra....

Dwa lata upłynęły od ożenienia filozofa z Felicją; wtedy dopiero przekonał się że to Messalina. Jakiś Syxtus poprzednik Tonina, opowiedział mężowi wszystko, a kiedy nie wierzył, zaprowadził na schadzkę. Ukryty świadek rozmowy dwojga kochanków, Sylwester mierzy głębię swojej niedoli z ciekawością uczonego topografa. Oznaczywszy dokładnie stopień winy państwa młodych, zważywszy w umyśle wszystkie argumenta za i przeciw tej zbrodni, Sylwester zdecydował, że Tonino nie zasługuje na żadne względy; żona zaś która z razu wydała mu się występniejszą, po głębszym namyśle otrzymała uwzględnienie i miłosierdzie.

Tonino wyposażony, odjeżdża. Felicja sądząc że mąż wie o wszystkim, rzuca mu się do nóg i błaga o przebaczenie. „Za co, i kogo prosisz o przebaczenie? pyta mąż, nie widzę w tobie żadnej winy, a jeżeli masz jaką względem Tonina, nie mogę jej sądzić.”

Tu się zaczyna kara: mąż otacza występłą żonę *przyjaźnią* pełną uszanowania. Felicja zdumiona tą chłodną czołobitnością, daremnie usiłuje zdobyć na nowo serce męża. Uwielbia postępowanie jego, a miłość którą pomimo niewierności dla niego zachowała, staje się płomienną. Sylwester pozostaje nieubłagany.

Złamana braterską dobrocią męża, Felicja zachorowała. Tutaj autorka przepysznym stylem kreśli fazy przez jakie przechodzi uczucie obrażonego męża.

Choroba żony go rozbraja: sądzi że pokuta dostateczna... Bierze więc w obie ręce jej palającą głowę, ale kiedy zbliża usta do jej czoła żeby je oczyścić przebaczeniem miłości, jakaś nie widoma siła paraliżuje mu ramiona... trzyma tę biedną obłąkaną głowę z daleka od swojej, nie mogąc żadną miarą się zbliżyć...

Po tém, następuje znakomity opis walki ducha z materją. „Mniemałem że kocham! mówi Sylwester, ale to była tylko miłość fizyczna, która fatalnie daje uczuć brak miłości mo-

ralnej. Omylne upojenie zmysłów, wyrwało mi łkania... a Felicya zrozumiała że wiem o wszystkim."

Pani Sylwestrowa wołałaby była śmierć z ręki męża, niż przyjaźń jego. Wspólne życie stało się niemożliwem: otruła się.

Sylwester niesie kwiaty na grób Felicyi; tam zastaje Syxtusa który opowiada mu ostatnie grzechy zmarłej i chce zabić Tonina. „W imię przebaczonego Boga nakazuję ci zostawić przy życiu Tonina, mówi wtedy Sylwester do Syxtusa: Felicya już nie należy ani do niego, ani do ciebie, ani do mnie."

Czyż nie mieliśmy słuszności powiedzieć na wstępie, że przygody Sylwestra nie przynoszą żadnego dowodu na poparcie założenia? Przyjaźń męża nie poprawiła Felicyi: do rozpaczyny dochodzi spadając coraz niżej. Przyjaźń męża nie była też karą bardzo miłosierną, kiedy z niej samobójstwo wynikło.

Wymownych kart, wzniosłych poglądów, nie brak w tym utworze pani Sand; chwalić styl, rzecz zbyteczna, ale nauka moralna całkiem chybia, jeżeli miała być jaka. Wyszedłszy z zasad przyjętych co do wierności małżeńskiej, autorka staje się zbyt pobłażliwą dla wybryków Felicyi. Wszystkie przypisuje jej artystyczną naturze: dusza płomienna potrzebuje płomienia. Nie jestże to argument przeciw surowości zasad? Któż się nie poda za artystę lub poetę, któż nie zaliczy swojego temperamentu do uprzywilejowanych, ilekroć wypadnie uniewinniać przed samym sobą zboczenie z prawej drogi, albo rozpustę?

Przedstawiono nakoniec w Vaudevillu oddawna zapowiadany „*Nowy Dom*” pana Sardou, Dom, który przed otwarciem jeszcze był powodem zwady i procesu. Jeżeli chcecie, zwiedzimy tę budowę od piwnic do strychu: sami najlepiej osądzicie co ona warta.

Akt pierwszy autor umieścił przy ulicy Thevenot, w bławatnym sklepie pod *Starą Kokardą*, jednym z takich domów, w których się przechowują dawne, uczciwe tradycje handlowe. Porządek tu panuje, rządzi oszczędność, uczci-

wość trzyma księgi. Żadnej wystawy, ale grunt mocny, a kredyt pewny. Same nawet meble ucześciwą mają minę: skromne a czyste, pozostają w harmonii ze służącymi.

Wuj Genevoix stoi na czele tego handlu; współnikiem jego jest siostrzeniec Pillerat. Kontrakt ich spółki właśnie dziś się kończy; rachunki w porządku, wykazują czarne na białém, że Pillerata część zysku wynosi pół miliona.

Zacna postać, ten sędziwy Genevoix: surowy, a nie rygorysta; nie przesądny a przywiązany do obyczajów lepszych czasów. Stara służąca w kornecie, jest żywym meblem tego domu; stary sąsiad, kassyer, podobny do automatu sercem poruszanego, wszystko to ludzie starego autoramentu, trzeźwo a wyraźnie wycieniowani. Przy osobach modnych które się wnet ukazą wyglądają oni jak stare wizerunki holenderskiej szkoły, wiszące w bulwarowym sklepie wśród kolorowanych jaskrawo litografii.

Do starych należy policzyć jeszcze, młodą Gabrielkę, którą wuj właśnie z pensyi przywozi. Dziewczę wychowane na prowincyi, rumiane jak wisienka, wyobraża zaginioną rasę niewiniątek.

„Gdzie kobieta?” pytał jakiś sędzia włoski nie mogąc rozwikłać sprawy: wiadomo że osiłą każdej intrygi kobieta. W sprawie *Nowego Domu* jest nią Klara Pillerat, rodzaj pani Bovary, nudząc się w ciemnych izbach starego sklepu. Podobnież ona pragnie zbytku i uciech nie znanych, Klara siedzi w tym sklepie jak lwica za kratą. Paryż stary, w czarnej melancholiją wtrąca młodą kupcową, tęskni za miastem nowém, którego grzmot wesoły dolatuje z daleka. Przyjmuje też radośnie wieść o najęciu nowego sklepu na bulwarze Malesherbes, gdzie ją mąż przenieść obiecuje; siostrzeniec radby wykorzenie starego wuja z rodzinnego bruku, ale pocziwiec, mocniej go się trzyma niż nowo posadzone drzewa smołowcu. Widząc że pnia wyruszyć niepodobna, młode małżeństwo odłącza się i leci ślać sobie nowe gniazdo.

Cały ten pierwszy akt prosty a serdeczny, obiecuje do brze zbudowaną sztukę, pełną uczuć prawdziwych i starannie narysowanych charakterów, słowem to, czego nie dotrzymuje.

Akt drugi na bulwarze Malesherbes, w anfiladzie paradnego magazynu pod godłem *Bouton d'or*. Pilleratowie mieszkają w złocisto-szkarłatnych pokojach: na nieszczęście,

autor dociąga się do kamertonu tego krzyczącego zbytku: nie maluje już ale koloruje, fałszuje... na ludzi i rzeczy patrzy przez lupę, a któż pozna pchłę pod mikroskopem?

Wszystko przesadzone w tym *Nowym Domu*, nawet odźwierny dyplomata, który, jak publiczność słusznie zauważała „à l'air de tirer le cordon de la Sublime-Porte.” Odźwierny w nowych domach paryżskich zakrawa wprowadzić na pana, ale jeszcze gentlemanem nie jest. Może pan Sardou pokazał portiera przyszłości, ale do teraźniejszości on nie należy. Toż samo można powiedzieć o służącym spekulującym na gruntach i pokojowej mającej w tygodniu dwa dni wymówione na własne *recepce*.

Prawdziwszym typem jest Pontarmé, młody starzec, zmęczony, znudzony, wysiłony, który krwią pluje i wysydzia wszystko co pocziwe. Część młodzieży paryżkiej może się poznać w tym człowieku.

Specjalnością pana Pontarmé wprowadzać w świat bogatych cudzoziemców i zbogaconych kupców. Z tego rzemiosła żokeja wyścigów wielkiego paryżkiego świata, ma rok rocznie do dwudziestu tysięcy franków. Dochód ten czerpie od dostawców, którym swoich wychowańców *do-starcza*. Teraz właśnie *trenuje* parę Pilleratów, dzielną upręż, która już zaczyna się rozbiegiwać.

Pillerat gra na giełdzie i utrzymuje Mandarynkę; interesa porucza kassyerowi szkoły angielskiej, który wygląda, na pick-pocketa przebranego za eleganta. Klara ubiera się i rozbiera dzień cały, w najwyższem społeczeństwie bywa. Tu znowu pan Sardou przesadza. Kupcowa z pół milionem, w pół roku nie przebywa przestrzeni dzielącej sklep od wielkich paryżskich salonów. Trudno także przypuścić, żeby kupiec tak porządną szkołę, od razu w nieład popadł. W tej handlowej komedii wygląda to jak rachunkowa pomylka na rejestrze.

Drugi akt cały schodzi na pogadance, czasami dowcipnej, czasami rozwlekłej; w końcu autor umieścił scenę którą wygwizdano. Małżonkowie postanowili nie mieć wspólnej sypialni, i tę kwestyą fizjologii małżeńskiej dyskutują bardzo szczegółowo. Scena ta po pierwszym przedstawieniu, znikła.

Trzeci akt jeszcze gorszy. Interesa Pilleratów w opłakanym stanie! Więc żeby zamydlć ludziom oczy, dają bal.

Klara występuje zdenerwowana nocną zabawą i napół uśpiona opium, które zażywa żeby mogła spać w dzień... Co za przesada! Toż przed pół rokiem opuściła dom w którym przez całe życie o dziesiątej zasypiała. Opium było potrzebne na co innego, nie mielibyśmy bez niego czwartego aktu: zaraz zobaczymy.

Ruina przybywa w czasie festynu: nie zapłacone kwity stają pomiędzy tańczącymi. Kassyer porzuca kadryla i rusza do Londynu z kassą, zamiast tłomoka. Z giełdy donoszą że Pillerat przegrał pół miliona, słowem wszystko się naraz wali. Na łomot taki, wszyscy goście opuszczają salę. Tapicerowie niespokojni o swoje pożyczone meble, wynoszą je z pośpiechem.... buntują się służący i domagają zaległych zasług. Klara daje pokojówce kołczyki, których ta brać nie chce, utrzymując że fałszywe....

Niecierpliwość publiczności wybucha na widok tylu niezgrabnie nagromadzonych katastrof, które na kupca spadają o trzeciej w nocy, kiedy samo nawet nieszczęście śpi smacznie. Na taką scenę brutalną, widz patrzy bez żadnego wzruszenia, jak na karczemną bójkę.

W czwartym akcie następuje owa sławna przygoda, którą jak twierdził jeszcze przed ukazaniem się sztuki, Pène, redaktor *gazety Cudzoziemców*, Sardou wziął z jego powieści, a on z rzeczywiścieści.

Klara od służących dowiaduje się że jój mąż utrzymuje tancerkę, to ją wprawia w gniew wielki! Postanowiwszy zemścić się natychmiast, wzywa listownie Galauta który jój się dotąd na próżno zalecał, żeby przybył niezwłocznie. Tu już wszelkie prawdopodobieństwo znika: zkądże naraz ta zadróść się wzięła?

Wezwany Galaut przychodzi, ale pijaniuteńki.... Klara chce go się pozbyć, pijak nie słucha; dokucza mu pragnienie: prosi o szlanek wody... Klarze przychodzi na myśl żeby w tę wodę wlać kilka kropel opium: chce uśpić gburę i swój list mu odebrać. Wypiwszy wodę, pijak jeszcze szuka butelki i wychyla duszkiem flaszkę opium stojącą na stole. Ledwie połknął, padł na ziemię jak trup. Klara myśli że skończył, a kiedy szalona strachem trzęsie trupa, słysząc stukanie do drzwi, i głos męża który prowadzi komisarza policyi żeby sprawdził kradzież kassjera. Klara zasłania kanapę leżą-

cego mężczyznę, wpuszcza przybyłych i napół żywa odpowiada na zapytania komisarza policyi.

Scenie téj nie brak talentu, ale brak wiary i przyczyny bytu. Ustęp ten wcale nie trzyma się sztuki; znać że to wyjęte z dziennika i przylepione klajstrem. To nawet nie katastrofa, ale tylko przypadek. Pijany mężczyzna trujący się przypadkiem w nocy u kobiety zameźnej, nie dramatyczniejszy od dachówki spadającej na głowę téjże samej osoby. Gdybyż przynajmniej namiętność barwiła tę dziwną przygodę; gdyby kobieta kochała tego mężczyznę, którego wezwała w nocy jako demona zemsty, a który jęj się przedstawia w postaci bydlęcia... Ale Klara go nie kocha; publiczność nie zna prawie téj podrzędnej figury, jakże zajęcie może wyniknąć z tak nieprzygotowanej sytuacji?

Rozwiązanie jeszcze wydaje się ekliwsze po tych gwałtach; do witryolu Sardou dolewa mleka. Ulewa szczęścia następuje po téj lawinie nieszczęścia... Skruszone Pilleraty powracają na ulicę Thévenot. Wszystko się wyjaśnia i układa. Otruty gach zmartwychwstaje: kassyera łapia z nienaruszoną kassą; na giełdzie podwyżka. Wuj przebacza i wypłaca; *stara kokarda* kraśniej, bo Gabryela idzie za męż.. Istny sen Salomona: tłuste krowy defilują po chudych...

Zawody, jak zwykle stanowią część dramatyczną komedyi pana Sardou: fałszywa trucizna, fałszywy trup, fałszywa ruina... fałszywa kokiетка... Baumarchais jużby nie pytał kogo tu oszukują; Sardou oszukuje wszystkich. Zbyt wiele pułapek w jego sposobie pisania: *Uczony piorun* w „Czarnéj Perle: *Nie palący się list*, „*Pattes de Mouche*“, *Kapelusz* „*Papillon*“, *Lis*, w „*Nos Intimes*“, próżna trumna rodziny Benoitów, *palący na panewce pistolet*, w „*Dobrych Wieśniakach*“, to istny repertuar kuglarza. Publiczności już się to przejadło; jeżeli chce utrzymać nadal swoją sławę, Sardou musi porzucić *hokus pokus*. Jeżeli dawnéj manieri nie odstąpi, spotka go los owego pasterza bajki, który, że kilka razy zwiódł wioskę krzycząc na wilka, pozostał bez obrony, kiedy wilk przyszedł rzeczywiście.

Przyjaciele radzą panu Sardou żeby odpoczął, żeby nie tworzył tak nagle, żeby mniej dbał o dochody, a więcej szanował talent, którym go Bóg obdarzył. Na powyższe zarzuty

Sardou odpowiedział jednemu z tutejszych feiletonistów listem, z którego wyjątki tu przytaczamy, jako potrzebny komentarz do dzieła jego.

...„Zarzucacie mi pośpiech; odpowiem wam na to, że napisanie *Nowego Domu* kosztowało mnie dwa razy tyle pracy, co inne sztuki. Pracowałem przez 6 miesięcy po 5 godzin dziennie: to moja zwykła doza; przerobiłem co mi się nigdy nie zdarza, dwa akty na próbach; przez dwa miesiące uczyłem aktorów od południa do czwartej; męczyłem się, zabijałem graniem wszystkich rol, żeby im pokazać jak mają być grane, żeby ich moją gorączką rozpałić. Czyż taką pracę można nazwać improwizacją?

„Mówicie że piszę zbyt wiele. Dlaczego chcecie żebym pisał na rok jedną sztukę, kiedy mój temperament znosi dwie. Pół roku poświęcić jednej komedyi, to dość. Doświadczenie dowiodło mi, że najlepsze sceny piszę w ciągu dwóch godzin, a najlepsze moje sztuki (jak n. p. *Starzy kawalerowie*) tworzę w ciągu sześciu tygodni. Teatr jest gorączką. Albo jest natchnienie, albo go niema; najlepsze zawsze to, co po namyśle napisze się odrazu, bo wtedy to samo życie.

....„Molier pisywał po trzy sztuki na rok, a był nadto aktorem i dyrektorem. Don Juana napisał w piętnaście dni. Czyż dlatego gorszy?

Praca mnie nie wycieńcza, przeciwnie: chory jestem jak nie pracuję. Pięć godzin dziennie, to moja miara od lat czterestu; wy jęj nie zmienicie. Wiele produkuję, dla tego że codziennie, rozumiecie? co dzień o ósmej rano już siedzę przy biurku, a nabyta siła podwaja impuls maszyny. Mówicie że piszę bez zastanowienia, bez przygotowania. Chcecie żebym wam posłał *tomy* notat zebranych przed napisaniem *Nowego Domu*, rysunki scen, stopy zaczerpionego papieru? Porachujcie przekręcenia, poprzerabiane sceny, całe pokasowane akty... wtedy może przyznacie, że *Nowy Dom* jest dziełem sumienném. Mnie się zdaje przeciwnie, że zbyt wiele nad nim pracowałem, co jest także wybornym sposobem popsucia rzeczy.

Zgodziliście się wszyscy na to, że ja pracuję dla złota, nie dla sztuki. Rozgłosili to niechętni, a uczeni ludzie powtarzają z wielkim dla mnie uszczerbkiem. Gniewa mnie to: Paryż ma o mnie zarazem zbyt dobrą i zbyt złą opinią: zbyt dobrą, jeżeli sądzi że tworzyć mogę arcydzieła trochę

popracowawszy; zbyt złą, jeżeli mniema iż się wysilam, żeby jak najwięcej produkować.

Pracuję, bo jestem pracowity; tworzę sztuki jak gruszka gruszki. Robię jak mogę najlepiej, a jeżeli nie są lepsze, to dlatego, że mnie na lepsze nie stać. Krytykujcie mnie, sądźcie i potępiajcie, to wasze prawo; ale nie mówcie że pracuję nieuczciwie, że sobie z publiczności żartuję, bo mi to na zawsze obrzydzi pisanie."

Sardou nie rozumie, czy nie chce rozumieć swoich krytyków: nikt mu tu nie zarzuca że za mało pracuje, ale że na dodatki mało ważne, siłę swęj pracy zwraca, a nie zastanawia się dosyć nad ogólnym zarysem. Powiada że codziennie pięć godzin siedzi przy biurku; bardzo pięknie, ale kiedyż obserwuje, kiedy patrzy na ludzi, nie na papier? Ślęczyć nad poprawami, to rzecz antykwaryusza nie dramaturga. Sardou tém grzeszy, czem równie jak on pracowity professor estetyki Taine: zadługo siedzi przy biurku.

Teraz na przykład, pan Taine jeździł do Włoch. Tam, zamiast patrzeć, zamiast umysł wiadomościami a wyobraźnię kolorami bogacić; zamiast uporządkować powolną i niedostrzeżoną pracę umysłową te nowo nabyte wiadomości i po długim namyśle wyciągnąć z nich pojęcia ogólne, Taine już z domu wychodzi z postanowieniem pracowania *koniecznie* i malowania wszystkiego co zobaczy. Więc patrzy na wszystko z jednostajną uwagą przymusową i wszystko z jednaka jaskrawością opisuje.

Cóż z tego wynikło? Oto, że *podróż* jego po Włoszech jest szeregiem małych obrazków mocno kolorowanych, a nie mających perspektywy, w których gdzieniegdzie ledwo ułamek jakiegś myśli jaśnieje.

Dlaczego? Bo Taine także, nie pięć, ale dwanaście godzin na dzień pisze i wszędzie ze swém biurkiem się wozi. Zły to system! bardzo zły. Potrzeba spacerować około przedmiotu; nie tykać go aż wtedy, kiedy umysł powoli, długo, dniem i nocą ze wszech stron go okraży. Nie jest to praca gabinetowa, ale samotna przechadzka wtorująca niewidomęj, powolnej robocie ducha.

Molier napisał *Don Juana* w dni piętnaście: ale jakże długo obserwując gromadził doń materyały. Młodość spędził wśród wesołych kolegów, wśród wiru hulaszczego życia:

Don Juan przez lat dwadzieścia kształtował się w jego umyśle. Nareszcie wziął pióro, a że mu czasu brakło, napisał złą komedią a studyum wyborne! Za to *Świętoszka* pisał trzy lata.

Sardou ma talent niepospolity, ale go źle kieruje: nie tylko umysł, ale zdrowie jego wiele cierpi na zamknięciu pomiędzy czterema ścianami. Słysząc że ma początki suchot. Gdybym był jego doktorem, wyrzuciłbym mu przez okno pióro i kazał iść na przechadzkę. Recepta pierwsza: otwórz oczy, patrz, i nie myśl o niczym, jeżeli to być może. Pozwól pracować w sobie nieznanemu mieszkańcowi który zbierze, bez twojej wiedzy, mnóstwo spostrzeżeń, nagromadzi mnóstwo wiadomości, które ty potem, z pomocą sumiennego wysiłku umysłowego, około jednej myśli ugrupujesz.

Teatr francuzki wznowił „*Szulera*” Regnard’a z wielką uciechą publiczności. Paryżanie zawsze z przyjemnością witają dawne komedye nie dowodzące nic, prócz tego że miło jest żyć i śmiać się. Dobry humor stariej Francyi wraz z nimi powraca i udziela się młodej.

„*Le Joueur*” jest arcydziełem najweselszego z ludzi. Regnard miał czego być wesół; jego sto tysięcy dochodu przedstawiały dzisiejszych pięćkroć; miał domy w mieście i na wsi, a wielcy panowie radzi u jego stołu kosztowali tego wina, które tak rozweselało gospodarza. Do tych darów fortuny dodajmy kwitnące zdrowie, charakter otwarty, temperament hulaszczy i lubieżny.

Ażeby to wszystko wiedzieć, dość spojrzeć na popiersie Regnarda w teatrze francuzkim i porównać jego oblicze z zamyśloną i melancholiczną twarzą Moliera. Molier, gieniusz cierpiący, patrzy w głąb dusz i zasmuca się tém co tam widzi; Regnard, talent łatwy, obserwuje jedynie na to, żeby się naśmiać z ludzi.

Komedye Regnarda mają ojcowski charakter: tchną dobrym humorem i swobodnie rymują. Regnard nie prawil kazania; nie oburza się nigdy, ma nawet słabość do przywar które wystawia zawsze z najładniejszej strony. Rzekłbyś, że się boi poprawić kogoś przypadkiem, tak starannie unika wszystkiego co zasępić może.

Szulerstwo, toż przedmiot straszliwy! ileż ono ludzi pożarło... Neron niewinniejszy od treflowego króla. Messalina dziewczicą obok damy kierowej. Z ukartowanój w pewien sposób talii, strumień łez i krwi wytryśnie... Regnard wyciąga z niej tylko fajerwek dowcipu. Jego Walery, czy wygra czy przegra pozostaje dobrze wychowanym szulerem, uprzejmym nawet w gniewie, komicznym nawet w rozpacz. Jak Sheridan, Walery twierdzi, że najpierwszém szczęściem wygrać, a drugiem przegrać w karty.

Regnard od początku do końca igra z ludźmi i wypadkami, nigdy nie bierze ich na seryo. Kredytor, w dramatach na grze osnutych, wygląda straszliwie... za nim spostrzegać całe wojsko woźnych... Skoro do drzwi zadzwoni, to jakby już podzwonne dłużnika brzmiało... Kredytorowie „Szulera” przedstawiają się jako najpokorniejsi słudzy, żebrzą, a nie upominają się o swoje i odchodzą z niczem, wyśmiani przez pana i lokai.

Ostatecznie, w komedjach tego miłego Paryżowi klasyka, jest tylko werwa, niepoprawny optymizm, styl żywy i świeży, jak źródłana woda niosąca w przezroczystym nurcie dowcipne słówka i trafne odpowiedzi. Nie ma na scenie zabawniejszego lokaja jak służący „szulera” Horacy, który panu swojemu sylabizuje Senekę, zgięty pod *in-folio*, niby osioł niosący relikwie filozofii. Jakże się nie radować, skoro taka raca wesołości szczerój, błysnie nad tłumem głów skłopotanych.

W Teatrze francuzkim rozpoczęto próby ostatniego utworu scenicznego Ponsarda: „*Galileusz*.” Sztuka będzie przedstawiona w lutym; słyhać że to ma być arcydzieło autora „*Lukrecyi*.”

Akademia francuzka odbyła swoje doroczne posiedzenia 20 grudnia. Choroba pana Villemain jest powodem tego spóźnienia. Prezydujący Dufaure czytał raport z nagród rozdanych cnocie. Najpierwszą (3000 franków) przysądzono rybakowi z normandzkich wybrzeży, który z narażeniem swojego życia wielu ludzi tonących wyratował.

Pierwszą nagrodę Goberta za najlepsze studyum historyczne, otrzymał pan Viel-Castel, autor będącej na ukończe-

niu ośmiotomowej „*Historyi Restauracji*.” Dzieło to pan Villemain wysoko ceni, oto jego słowa: „Zaszczyt dziejopisa w tém, że pozostał sprawiedliwy i spokojny w chaosie; zawsze umiarkowany, wierny trwałym interesom kraju, nie zbyt gorliwy ani schlebający sile. Zasluga jego największa, że poznał dobrze interesa Francyi i ruch Europy, wyższość w tém, że prócz wiedzy posiada bystre oko przenikające ludzi.

„*Historya Restauracji* pana Viel-Castel zwróciła uwagę Akademii przed ukończeniem. Dzisiaj nagradza takową, pewna, że dzieło znakomitę do końca pozostanie.”

Drugą nagrodę dano panu Lavallée za dzieło pod tytułem „*Les frontières naturelles de la France*” w którym autor, inżynier, geograf, domaga się prowincyi nadreńskich.

Do przyszłorocznej nagrody *poezyi*, Akademia wskazała za przedmiot „*Śmierć Lincoln*.” Do nagrody *Wymowy*, proponuje rozbiór krytyczny „*Rozprawy Jana Jakóba Rousseau*.”

Ludwik Figuier wydał nowy tom ilustrowany, pod tytułem: „*Vies des Savants illustres du Moyen âge*.” Niezmordowany rozpowszechniacz nauki, w tomie tym opowiada prace najślawniejszych ludzi owego czasu; idą porządkiem: encyklopedysta Albert le Grand, Roger, Bacon, Raymond Lulle, Tomasz z Aquinu, Ernauld de Villeneuve, Gutenberg i wynalazek druku, Kolumb i odkrycie Ameryki. Wykaz ogólny stanu nauki w wiekach średnich jest wstępem i przygotowaniem do tych życiorysów.

— Wydawca Lacroix przygotowuje *przewodnika po Paryżu* dla cudzoziemców mających przybyć na wystawę. Najznakomitsze pióra składają się na tę publikacyą. Rozpoczyna *przedmowa* Wiktora Hugo; dalej *ogląd na stary Paryż* przez Ludwika Blanc; *Instytut* przez Ernesta Renan; *Kollegium francuzkie* przez Micheleta; *Panteon* przez Quineta; *Natura w Paryżu* przez panią Sand; *Akademia Francuzka* przez pana Sainte-Beuve, i tak aż do końca same znakomitości pierworzędne. Ilustracye do tego przewodnika robią: Ingres, Meissonier i Daubigny.

— Maurycy Sand wydał malowaną książeczkę kalendarową pod tytułem: „*Le Monde des Papillons*,” opowiada dzieje i obyczaje tych ładnych owadów. Przedmowę napisała matka: zbyt uczynna mówić że to najlepsza część książki.

— Wyjdzie nowe *Album Gavarniego* pod tytułem: „*d'Après Nature*.” Są to rysunki znalezione w tekach genialnego rysownika. Jest ich czterdzieści. Podzielone na cztery działy, każdy poprzedzi przedmowa znakomitego paryżskiego feiletonisty: Janin, Gautier, Saint-Victor, Houssaye, będą czterna gwiazdami okładki.

